

JÓZEF SADURSKI

ur. 1927; Kębło



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, II wojna światowa
Słowa kluczowe	Lublin, II wojna światowa, konspiracja, szkoła podoficerska, zdobywanie broni

Zabraliśmy Niemcowi karabin – okres konspiracji

Sporo nas było w konspiracji. Na spotkaniach śpiewaliśmy piosenki partyzanckie, między innymi Legiony. Od czasu do czasu przychodzili Niemcy nas ostrzegać, że możemy mieć kłopoty, byli to volksdeutsche, więc dobrze mówili po polsku. Pewnego dnia tak właśnie głośno śpiewaliśmy, ja miałem tak zwaną wartę na klatce schodowej. To była zima, Boże Narodzenie. Zobaczyłem, że idzie, wpadłem i mówię „Słuchajcie, Niemiec do nas idzie”. A był z nami taki kolega S. i on powiedział „Józek, idź ja go załatwię”. Na początku myślałem, że on żartował, a on wyszedł i skoczył jak mała na tego Niemca, ten Niemiec się przewrócił, kolega S. zabrał mu karabin. Przychodzi i mówi „Chłopaki, mamy karabin”. Myśleliśmy, że zwariował, obawialiśmy się najgorszego, ale reakcja tego Niemca była taka, że przyszedł i poprosił nas, żebyśmy mu oddali karabin. My tylko wyjęliśmy naboje, a broń mu zwróciliśmy. Gdyby on się poskarżył, to jego by zastrzelili, on się po prostu bał. W czasie okupacji uczęszczałem do szkoły podoficerskiej, była tak zwana klasa „Kruk” i szkolono nas tam na kurierów, mieliśmy przewozić to, co nam każą, nie zawsze wiedzieliśmy co. Kiedyś wpada do mnie do domu pani Chełchowska, to była matka mojego kolegi Włodka Chałchowskiego, instruktora, który nas szkolił, miał z nami szkolenie bojowe. Powiedziała do mnie, że muszę zająć się lekami, bo ten, co odbierał z apteki już jest wsypany. Kazała mi pójść do apteki na Krakowskim i zapytać się o pana Kwiatkowskiego i odebrać leki na hasło „Jaga”. Poszedłem tam, ale go nie widziałem, aptekarki patrzyły się na mnie podejrzliwie, później się okazało, że podobno była wśród nich jedna konfidentka. Wreszcie aptekarz się pokazał, podszedłem do niego i powiedziałem „Przepraszam, przysłała mnie tu Jaga”. Wtedy on przyniósł mi taką paczkę, nie wiedziałem, co to jest, później się dowiedziałem, to była penicylina. W czasie okupacji penicylina była lekiem na wszystko, jakby mnie Niemcy z tym złapali, toby zastrzelili z miejsca. Jako młodzi chłopcy z konspiracji roznosiliśmy tak zwaną bibułę konspiracyjną, ja najczęściej roznosiłem biuletyn informacyjny. Roznoszenie tych bibulek było bardzo ryzykowne, bo co innego dwie, trzy gazetki do znajomych, a

co innego dwadzieścia gazetek do różnych ludzi. Jeżeli chodzi o szkolenia, to na jednych zajęciach, przypominam sobie, instruktor ze szkolenia bojowego rozebrał pistolet i kazał nam złożyć ten pistolet. Po lekcji powiedział do nas: „No koledzy, ale za dwa tygodnie jak się spotkamy na szkoleniu, każdy przyjdzie z własnym pistoletem”, w tej grupie było nas bodajże ośmiu, spojrzeliśmy na niego jak na wariata, no bo skąd wziąć pistolety. Okazało się po dwóch tygodniach, że tylko jeden przyszedł bez pistoletu, wszyscy pozostali mieli. Zdobywanie pistoletów odbywało się w różny sposób, przede wszystkim przypomnieliśmy sobie, że jest sporo broni zakopanej z trzydziestego dziewiątego roku. Zakopane pistolety były zabezpieczone, dobrze nasmarowane i kilka razy zawinięte, więc później trzeba je było tylko oczyścić. Mama cały czas drżała, jak czyściliśmy pistolet, czasem części były porozkładane na stole, a mama obok gotowała jedzenie. Drugie źródło zdobywania broni to było rozbrojenie Niemców. Niemcy z Wermachtu szczególnie na przedmieściach, nie mówiąc już, że na wsi po prostu się bali, rozbrojenie nie sprawiało trudności, na „Hande hoch” podnosili ręce, rzucali broń. Natomiast z esesmanem nie można w żadnym wypadku było ryzykować, ale jak się spotkało esesmana pijanego na łące, podchodziło się do niego pomaleńku i jak się widziało, że chrapie, to się mu ukradło pistolet. W szkole na rogu Krańcowej i Kunickiego były koszary, tam pracował człowiek, który przed wojną był woźnym, a później tam nadal Niemcom posługiwał, z tego żył. Tam Polacy obierali ziemniaki Niemcom i my tam jeździliśmy po odpady na wyżywienie naszej trzody. W zimie jeździłem tam sankami, a w lecie z wózkiem na czterech kółkach i takie olbrzymie wory obierki przywoziłem. Raz przywoziłem do domu, mama wysypała obierki i krzyknęła „O Jezu!”, bo wypadł pistolet, o którym zapomniałem. Podobnie po jakiejś akcji ubezpieczeniowej, byliśmy za młodzi do działań bojowych, ale ubezpieczaliśmy różne akcje, przyszedłem zmęczony w nocy i włożyłem pistolet pod poduszkę. Na drugi dzień jak mama ścieliła łóżko, to też się przestraszyła „O Jezu! Józiu, co to jest?” - Ja odpowiedziałem – spokojnie, to jest zwykły pistolet. Jak były zbiórki, to ja wychodziłem na przykład po instruktora, żeby go przyprowadzić na zebranie, to on wiedział tylko mniej więcej jak to dzielnica, nie widział do którego domu ma się udać.

Data i miejsce nagrania	2010-09-01, Lublin
Rozmawiał/a	Piotr Lasota
Transkrypcja	Olimpia Przygocka
Redakcja	Piotr Lasota, Olimpia Przygocka
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"